

Pięć Skarbnic pod Wielkim Śniegiem

Rozległe doliny, intensywnie zielone tarasy ryżowe, meandrujące strumienie, widnokrąg, z którego wszystkich stron wypiętrzają się majestatyczne białe ściany najwyższych gór świata... Choć od mojej podróży do stóp jednego z ośmiotysięczników upłynęło już trochę czasu, bardzo często wracam w pamięci do tych obrazów.

Kangchenjuga (8586 m n.p.m.) to pod względem wysokości drugi szczyt Himalajów i trzeci szczyt świata. Nazwa góry pochodzi od czterech tybetańskich słów: *kang* – śnieg, *chien* – wielki, *dzod* – skarbnica, *nga* – pięć, co w tłumaczeniu oznacza Pięć Skarbnic pod Wielkim Śniegiem. Według miejscowej ludności owe pięć skarbnic odnosi się do pięciu wierzchołków masywu, pięciu lodowców, a także do tradycyjnych pięciu skarbów regionu: soli, złota i turkusów, świętych ksiąg, oręża oraz zboża i leków.

Na trekking do bazy pod Kangchenjungą wybieram się razem z grupą przyjaciół w październiku. To okres, kiedy w Himalajach ustają monsunowe deszcze, a pogoda jest najbardziej ustabilizowana, chociaż trzeba się liczyć z tym, że w niższych partiach gór czasem pada, a wyżej położone przełęcze mogą być zaśnieżone. Naszą wędrówkę zaczynamy od wioski Suketar, do której dowożą nas jeep'y. W rejonie Kangchenjugi można się poruszać jedynie z przewodnikiem, towarzyszy nam zatem wynajęty w jednej z agencji trekkingowych w Kathmandu młody chłopak o imieniu Danuri. Nasz opiekun bardzo szybko okazuje się niezwykle pomocny nie tyle w wyborze trasy, co w negocjowaniu cen posiłków i noclegów z miejscową ludnością. Ponieważ waga naszych plecaków dochodzi nawet do 28 kg, decydujemy się wynająć również jednego tragarza, któremu każdy z nas oddaje kilka rzeczy z plecaka. Takie grupy jak nasza (sami niesiemy swoje plecaki, sami gotujemy część posiłków,

śpimy głównie w namiotach) to rzadkość w Himalajach, gdzie przemysł wysokogórski rozwinął się na bardzo szeroka skalę – na szlaku mijamy wiele komercyjnych wypraw liczących po kilkudziesięciu tragarzy i kilku kucharzy. Pomimo, że trekking w rejonie Kangchenjungi nie jest aż tak popularny jak te w okolicach Everestu czy Annapurny, to na szlaku bywa czasem dość tłoczno.

Pola ryżu i bananowce

Pierwsze dni trekkingu to droga przez niezwykle zieloną dolinę z mocnym akcentem kolorystycznym miejscowych domów, tarasami ryżowymi (Fot.1.) pokrywającymi zbocza nawet do wysokości ok. 2500 m n.p.m. oraz bananowcami. Kolejno mijamy wioski: Mitlung, Siwan, Chhiruwa, Tapethok i Hellok. W wielu z nich okrzykiem *namaste* (pol. cześć) witają nas dzieci. Domy, w których zamieszkuje lokalna ludność, są bardzo skromne, aczkolwiek zadbane, budowane z utwardzonej ziemi lub dużych suszonych na słońcu cegieł, pokryte najczęściej gałęziami lub kamieniami i gliną. Wreszcie mamy okazję spróbować miejscowych potraw, z których najpopularniejszy jest *dhal bhaat*, czyli ryż podawany z zupą z soczewicy. Czasami Nepalczycy dodają do niego także szpinak i smażone ziemniaki. Mnie zdecydowanie najbardziej smakuje *chyia* – herbata zagotowana z mlekiem, cukrem oraz dodatkiem przypraw. Jeden z gospodarzy częstuje nas również lokalnym alkoholem. *Tongba* przygotowywana jest ze sfermentowanego zacieru prosa, który następnie umieszcza się w drewnianym pojemniku i zalewa gorącą wodą. Do jej picia Nepalczycy używają bambusowych rurek. Gorąca woda jest kilkakrotnie uzupełniana.



Fot.1.

Coraz wyżej

Po tygodniu dość męczącego (z powodu bardzo wysokiej temperatury i dużej wilgotności powietrza) trekkingu docieramy do Ghunsy – wioski położonej na wysokości 3595 m n.p.m. Zaczynają się wyłaniać pierwsze ośnieżone szczyty, spada również temperatura. Masyw Kangchenjungi jest bardzo rozbudowany, w jego bliskim sąsiedztwie wznosi się słynny siedmiotysięcznik Jannu (Fot.2.). Jego wielkość i charakterystyczny kształt robią na nas bardzo duże wrażenie. Na wąskich ścieżkach, trawersujących strome zbocza wzgórz, mijają nas karawany jaków (Fot. 3.). Zwierzęta te odgrywają bardzo ważną rolę w życiu mieszkańców himalajskich wiosek: dostarczają im pożywienia, wełny, są także głównym środkiem transportu w transhimalajskim handlu. W przedsionku chaty jednego z gospodarzy, u którego zatrzymujemy się na nocleg, leżą starannie poukładane wysuszone jacze odchody. Okazuje się, że miejscowa ludność wykorzystuje je do uszczelniania

domów albo jako opał.



Fot.2.

Po kilku godzinach wędrówki docieramy wreszcie do Khangpachen. W tej położonej ponad 4000 m n.p.m. wiosce niektórym z nas zaczynają dokuczać pierwsze objawy choroby wysokościowej – duże zmęczenie, mdłości, silny ból głowy i brak apetytu. Gospodarz podaje nam zupeę czosnkową, która podobno jest na te dolegliwości dobrym lekarstwem. Gdy następnego dnia objawy nie ustępują, decydujemy się zejść do wioski położonej niżej, aby zdobyć odpowiednią aklimatyzację. Choroby wysokościowej nie można bagatelizować, ponieważ prowadzi ona do obrzęku płuc oraz mózgu, a jeśli nie zostaną podjęte odpowiednie kroki, czyli zejście na niższą wysokość, kończy się śmiercią. O tym, jak jest niebezpieczna przekonujemy się niestety kilka dni później, gdy w bazie pod Kangchenjungą w wyniku obrzęku płuc umiera jeden z tragarzy. W końcu udaje się nam dotrzeć do położonego 4785 m n.p.m. Lhonaku, z którego następnego dnia planujemy ruszyć do bazy będącej dla nas ostatnim etapem

trekkingu, natomiast dla wypraw wysokogórskich stanowiącej punkt wyjścia. Nocą temperatura w Lhonaku spada do ok. -20°C . Nieco przemarznięci ruszamy do bazy w Pangpemie, skąd Kangchenjuge widzimy już w całej okazałości. Ponieważ według wierzeń lokalnej ludności wierzchołek góry uważany jest za święty i symbolizuje boga, pierwsi zdobywcy – George Band i Joe Brown – uszanowali wolę tutejszych mieszkańców i zatrzymali się kilka metrów przed szczytem.



Fot. 3.

Święto Świąteł

Ponieważ pogoda znacznie się pogarsza, a śnieg przykrywa wyżej położone przełęcz, rezygnujemy z drugiej części trekkingu. Podczas zejścia, w wiosce Amjilosa natrafiamy na obchody jednego z najważniejszych w Nepalu świąt. Tihar – Święto Świąteł- to radosne pięciodniowe wydarzenie, któremu towarzyszą rodzinne spotkania, śpiewy, tańce i składanie

ofiar. My również zostajemy spontanicznie porwani do tańca przez miejscową ludność. Podczas festiwalu we wszystkich domach zapala się lampki oliwne, aby przywołać boginię dostatku – Lakszemi. Ostatni dzień Tihar jest świętem braterstwa. Wszyscy członkowie rodziny są wówczas razem w domu, znaczą sobie nawzajem czoła świętym znakiem tika, ofiarowują słodkie i owoce oraz symboliczne sumy pieniędzy. Nepalczycy uwielbiają świętować i nie ma dla nich większego znaczenia, jakiej religii dotyczy dane święto.



Fot. 4.

Kulturowo-religijna mozaika

Pod względem etnicznym i religijnym ludność zamieszkująca Nepal jest tak zróżnicowana, jak krajobraz Himalajów. Szczególnie wyraźnie widać to w Kathmandu – stolicy Nepalu, którą zwiedzamy na sam koniec naszej wyprawy. Zaskakująca jest harmonia współistnienia tak wielu kultur w obrębie tak niewielkiego państwa. Dwa główne nurty religijne – hinduizm i buddyzm- mieszają się ze sobą, przeplatają z tantryzmem i ulegają wpływom lokalnych wierzeń, zatracając swoje granice. Ma to również odbicie w architekturze sakralnej – w tym samym miejscu można spotkać typowo buddyjskie młynki modlitewne i charakterystyczne hinduskie dzwonki. W Kathmandu zwiedzamy najważniejszy plac w mieście – Durbar Squar, pełen świątyń w kształcie pagód oraz misternie rzeźbionych pałacików. Przechodzimy również przez bardziej turystyczny Thamel oraz oglądamy buddyjską stupę Kathe Simbhu (Fot. 4.). Niepowtarzalny klimat Kathmandu tworzą jednak nie tyle słynne budowle, co kameralne wąskie uliczki, riksze, stojący prawie na każdym rogu sprzedawcy nagietków oraz stragany z owocami i warzywami (Fot. 5.). Pomimo, że w Nepalu spędziliśmy prawie miesiąc, zostało duże uczucie niedosytu obcowania zarówno z naturą, jak i kulturą tego fascynującego kraju i coraz częściej pojawia się myśl, żeby znów tam wrócić.



Fot. 5.